



BO
JESTEŚ
TY

IZA MACIEJEWSKA

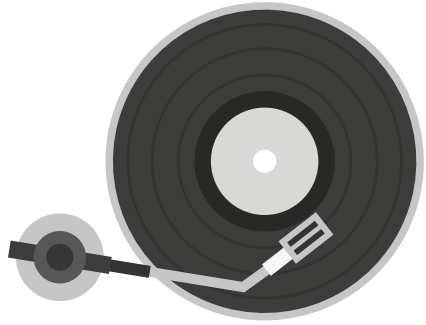
BO
JESTEŚ
TY

BO
JESTEŚ
TY

I Z A M A C I E J E W S K A

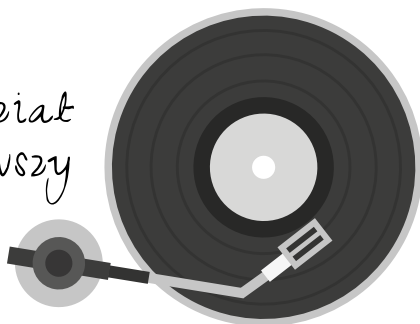
Dla mojego „młodzieniaszka” –
Wojtku, Kocham Cię.

*Przeznaczenie to takie coś, co Cię nie minie.
Wydź mu więc naprzeciw.*



Chciałam być głucha i ślepa na prośby drugiego człowieka. Chciałam włożyć tego człowieka do kieszeni i nigdy go z niej nie wyjmować. Chciałam mieć go zawsze przy sobie. Chciałam być samolubna.

Rozdział pierwszy



Najpierw usłyszałam złowieszczy stukot obcasów, niosący się coraz głośniejszym echem po szkolnym korytarzu, a chwilę później drzwi otworzyły się z impetem. Do klasy weszła – albo raczej wtargnęła – nasza wychowawczyni, Irena Sroka. Z zawodu historyczka, z natury histeryczka, o czym przekonaliśmy się już wiele razy. Wyglądała na wzburzoną. To ja byłam przyczyną tego wzburzenia. Momentalnie poczułam na sobie spojrzenia wszystkich uczniów, co tylko sprawiło, że wyprostowałam się jeszcze bardziej. Wzrok nauczycielki przenosił się z jednej twarzy na drugą, aż w końcu zatrzymał się na mnie. Zmrużyła powieki i wycelowała w moją stronę chudy, sękaty palec. Jej paznokcie mieniły się perłoworóżowym lakierem, który miał pasować do sukienki w tym samym kolorze. Moim zdaniem nie pasował.

– Nowacka, okaż chociaż odrobinę szacunku i wstań, jak do ciebie mówię! – wrzasnęła.

Mój umysł chciał ją poinformować, że przecież jeszcze niczego do mnie nie powiedziała. Nie licząc oczywiście tego, że mówiła o mówieniu. W każdym razie organ odpowiedzialny za sprawowanie kontroli nad wszystkimi narządami uznał, że jej słowa są trochę nielogiczne. Zachowałam to jednak dla siebie.

Wstałam. Uniósłam wysoko podbródek i zacisnęłam usta. Bardzo chciałam wyglądać w tym momencie jak ktoś, komu jest wszystko jedno. W filmie *Młodzi gniewni* z Michelle Pfeiffer niepokorni uczniowie przybierali podobny wyraz twarzy. Różniło mnie od nich to, że chodziłam do polskiej szkoły, więc zamiast zesłać mnie po lekcjach do kozy na co najmniej pół roku i tym samym powierzyć pod opiekę zajebistej nauczycielce, która w magiczny sposób sprawiłaby, że w ciągu tygodnia, no, może trzech, przewartościowałabym swoje życie, rada pedagogiczna zapewne postanowiła oszczędzić sobie kłopotu i jeszcze większego bólu głowy i po prostu wyrzucić mnie ze szkoły już dziś. Miałam wrażenie, że to, co kilka sekund później powiedziała do mnie Sroka, dotarło do moich uszu w zwolnionym tempie.

– W tej chwili pójdziesz do dyrektora! Już on zrobi z tobą porządek! Kto by pomyślał, że z ciebie takie ziółko! Matura za pasem, a tobie głupoty w głowie? Wstyd! Jesteś taka... taka... No tak mnie wyprowadziłaś swoim zachowaniem z równowagi, że aż brakuje mi na to wszystko słów! Całą noc spać przez ciebie nie mogłam! Trzeba było zwołać specjalną komisję w twojej sprawie! Ty myślisz, że my nie mamy co robić? Sądziłam, że przez te dwa lata trochę oleju wam do głów nalałam, ale najwidoczniej do was nic już nie dotrze! – Była tak wzburzona, że przy okazji oberwało się całej klasie. – Ty, Nowacka, zabieraj swoje manele i zasuway do dyrektora! A dla pozostałych niech to będzie ostrzeżenie! Szczególnie dla ciebie, Malinowski! – Tradycyjnie już dostało się siedzącemu w ostatniej ławce Piotrkowi, który od pierwszej klasy liceum bardzo sumiennie pracował na łatkę „on jest temu winien”.

Malina przybrał typowy dla siebie wyraz twarzy świadczący o tym, że ma to gdzieś, oparł zgięte w łokciach ręce,

głowę i część tułowia na stole i ponownie udał się na drzemkę, którą swoim pojawieniem się przed chwilą przerwała Sroka. Ale mu w tym momencie zazdrościłam.

Obrzuciłam niechętnym spojrzeniem wychowawczynię, wrzuciłam do plecaka swoje rzeczy i szurając krzesłem, wstałam z miejsca. Rano, gdy tylko pojawiłam się w szkole, czekałam, aż dyrektor wezwie mnie na dywanik. Trochę sobie poczekałam, ponieważ postanowił potrzymać mnie w niepewności do ostatniej lekcji. Wszem wobec mówiłam, że mam na niego wywalone i niczego się nie boję, ale to były tylko pozory. Tak na serio, tak absolutnie na serio, to każda mijająca minuta stresowała mnie tak bardzo, że czułam, jak moje włosy zaczynają siwieć, i miałam wrażenie, że za chwilę będę świeciła w ciemności. Tylko czego ja się tak właściwie spodziewałam? Co ja sobie wyobrażałam? Że nie wyciągną wobec mnie żadnych konsekwencji? Że pogrożą mi palcem, w ostateczności wpiszą mi jakąś uwagę do dziennika i na tym się skończy? Przecież skoro chciałam udowodnić przyjaciółce lojalność, biorąc na siebie jej winę, powinnam mieć świadomość, do czego może mnie doprowadzić moja głupota. Albo inaczej: do czego może mnie doprowadzić jej głupota, za którą to postanowiłam być tak wielkodusznie odpowiedzialna.

Na drugie imię powinnam mieć Kretynka. Bo przecież nie Nadzieja.

Koledzy i koleżanki wpatrywali się we mnie. Jednego mogłam być pewna: oni, w przeciwieństwie do szanownego grona pedagogicznego, na pewno nie będą mnie oceniali. Oni wiedzieli, że chciałam ochronić przyjaciółkę. Byłam dla nich bohaterką. Nim ruszyłam się z miejsca, spojrzałam na bladą Ewelinę, winną całej sytuacji. Wyglądała tak, jakby potrzebowała natychmiastowej reanimacji, mimo to jakimś

cudem wykrzesła z siebie siłę i pokazała mi dwa uniesione kciuki. Ten gest dodał mi nieco otuchy. Wyszłam z klasy i ruszyłam w kierunku gabinetu dyra. Wcześniej jednak weszłam do łazienki. Na szczęście Sroka nie siedziała mi na ogonie, żeby upewnić się, że dotrę do celu. Założyłam plecak na ramiona i stanęłam przed jedną z umywalk. W pierwszym odruchu pomyślałam o tym, żeby wyskoczyć przez okno i uciec ze szkoły. Kiepski pomysł, zważywszy na to, że znajdowałam się na drugim piętrze. Potem chciałam opłukać twarz zimną wodą, ale dosłownie w chwili, w której odkręciłam kurek i zmoczyłam ręce, dotarło do mnie, że mam makijaż. Zakłęłam i wytarłam dłonie o jeansy, bo sprzątaczkę jak zwykle nie zadbały o to, żeby w podajnikach znalazły się papierowe ręczniki. Oparłam ręce na umywalce, przymknęłam powieki i starałam się uspokoić myśli.

Bałam się. Miałam też mdłości, co tylko potęgowało mój strach. Zawsze, gdy ogarniał mnie strach, miałam mdłości. Ilekroć ojciec podnosił na mnie rękę, miałam mdłości. Ilekroć wyciągał ze swoich spodni pasek, którym chciał nauczyć mnie pokory, szacunku i posłuszeństwa, miałam mdłości. Ilekroć dostałam w szkole ocenę gorszą niż czwórkę, miałam mdłości, bo wiedziałam, co mnie czeka w domu. Mój ojciec wychowywał mnie przemocą. Nie słuchałam go dlatego, że chciałam, tylko dlatego, że się go bałam. To strach przed nim mnie ukształtował. To strach przed nim budził mnie każdego ranka, towarzyszył mi przez cały dzień i usypiał mnie wieczorami. I chociaż ten człowiek od trzech lat nie był niczym więcej jak kupką kości zamkniętą w drewnianej trumnie, to ja i tak się go bałam. On cały czas mieszkał w mojej głowie. Cały czas miał nade mną władzę. Cały czas wzbudzał we mnie lęk.

– Będzie okej – wyszeptalam, starając się zapanować nad oddechem – pójdziesz tam i powiesz, że nie wiesz, co w ciebie wstąpiło. Obiecasz poprawę, zgłosisz się do sprzą-tania terenu wokół szkoły, z pokorą wysłuchasz tego, co Mołęda ma ci do powiedzenia, i tyle. Musiałas to zrobić. Mu-siałas pomóc Ewelinie. Wobec niej na pewno wyciągnęliby bardzo surowe konsekwencje, bo miała już kilka rzeczy na sumieniu. Wobec ciebie tego nie zrobią. Masz dobre oceny, jesteś przewodniczącą klasy, reprezentujesz szkołę w zawo-dach sportowych i nigdy niczego nie odwalilaś. To pierwszy raz, więc na pewno potraktują cię łagodnie. – Udawałam sama przed sobą, że dokładnie tak będzie. Że moje sło-wa będą prorocze. I na pewno nie wyrzucą mnie ze szkoły. Mimo tego mój żołądek splótł się w ciasny węzeł, bo jakoś trudno było mi uwierzyć, że obejdzie się bez konsekwencji. Spojrzałam w lustro. Patrzyły na mnie brązowe, niepewne swej przyszłości oczy. Moja zazwyczaj śniada cera przybra-ła barwę bieli, pod powiekami natomiast widniały sińce po nieprzespanej nocy i nawet puder nie był w stanie dobrze ich ukryć.

Wyszłam z łazienki. Z każdym kolejnym krokiem narasta-ła we mnie większa niepewność. Miałam wrażenie, że tracę kontrolę nad swoim coraz bardziej napiętym ciałem. Czua-łam się tak, jak w dniu śmierci mojego ojca. Kompletnie oglupiała, zdekoncentrowana i spanikowana. Miałam wtedy piętnaście lat i bałam się, że wszyscy się dowiedzą, co zrobi-łam. Powróciły wspomnienia, które od tyłu lat wypierałam ze świadomości. Krzyki, wyzwiska, szarpanie za włosy połączone z odorem przetrawionego alkoholu i papierosów. A wszyst-ko zaczęło się od tego, że poprosiłam o wypełnienie zgody na szkolną wycieczkę do Gdańska. Ojciec nie pozwolił mi

na nią jechać. Był pijany. Szarpał mnie i wyzywał od paszytytów i niewdzięcznych bachorów.

Nie chciałam go zabić. Chciałam tylko powstrzymać jego rękę, kiedy po raz kolejny zamierzył się, żeby uderzyć mnie w twarz. Stracił równowagę i spadł ze schodów. Jak się później okazało – skręcił kark.

Stałam na szczycie schodów i patrzyłam na leżące pod nimi ciało. Ojciec miał otwarte, wręcz wybałuszone oczy, z których wylazła pustka. Nie ruszał się. Zaczęłam na zmianę wrzeszczeć i piszczeć. Moja matka była w tym czasie na dworze. Zawsze, gdy ojciec mnie bił, wychodziła z pokoju lub z domu. Hałas, którego narobiłam, musiał ją zaalarmować, ponieważ nigdy nie krzyczałam. Matka patrzyła to na leżącego bez ruchu ojca, to na mnie. Jej twarz była blada, oczy rozbiegane, ręce nie wiedziały, co mają ze sobą zrobić.

– Ja nie chciałam go zabić... nie chciałam – dukałam. Obejmowałam się ramionami, jakby to miało przynieść mi ukojenie.

Byłam pewna, że matka wezwie policję i powie, że jestem morderczynią, każe wsadzić mnie do więzienia i tym samym pozbędzie się problemu. Nie zrobiła tego jednak. Nim zadzwoniła po odpowiednie służby, złapała mnie za ramiona, potrząsnęła nimi i powiedziała:

– Ojciec spadł ze schodów, bo był pijany. Powtórz. Weronika, powtórz, mówię!

– Ojciec spadł ze schodów, bo był pijany – usłyszałam swój głos, a ona kazała mi powtarzać te słowa tak długo, aż uznała, że brzmię wiarygodnie. Moim zdaniem brzmiałam bardzo niewiarygodnie.

Przyjechało pogotowie. Potem policja i jacyś panowie w garniturach. Byłam w takim szoku, że podczas rozmowy

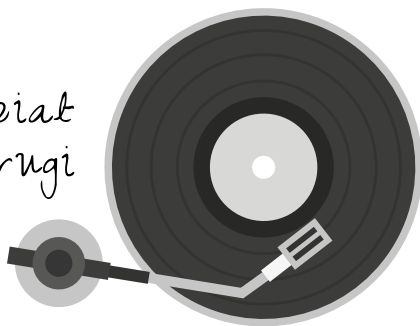
na zmianę płakałam, jęczałam się i ponownie zanosilałam szloch. Nie przesłuchiwali mnie długo. Przyjęli wersję roztrzęsionej piętnastolatki. Może sama nie zaczęłam w nią wierzyć, jednak bardzo tego chciałam, dlatego codziennie zaraz po przebudzeniu i tuż przed zaśnięciem jak mantrę powtarzałam sobie, że ojciec sam spadł ze schodów. Ja i matka nigdy więcej na ten temat nie rozmawiałyśmy. Nie wiem, jak ona, ale ja przez pierwsze miesiące kompletnie sobie z tym nie radziłam. Każdy rano witał mnie poczuciem winy i był powrotem z krainy koszmarów. Nie miałam z kim o tym porozmawiać. Dopiero gdy zaprzyjaźniłam się z Ewelina, nauczyłam się tego, że jeśli o czymś się nie myśli i nie mówi, to można sprawić, że tego nie będzie. Ewelina była mistrzynią zamiatania trudnych spraw pod dywan, a że ja stałam obok i ją obserwowałam, pewne nawyki stały się dla mnie jakby naturalne. Nauczyłam się posługiwać tą samą szczotką.

Tyle tylko, że trup ojca w końcu wypadł z szafy, do której go upchnęłam, bo gdy stanęłam pod drzwiami gabinetu dyrektora Molędy, dotarło do mnie, że wzięcie na siebie odpowiedzialności za coś, czego nie zrobiłam, było złe i na pewno poniosę surowe konsekwencje tej decyzji. I to właśnie będzie kara za zepchnięcie pijanego i agresywnego ojca ze schodów. Bo ja cały czas uważałam, że ponoszę odpowiedzialność za jego śmierć.

Przeszłość, za którą nie zamkniemy szczelnie drzwi, zawsze nas dopadnie. Zawsze. Zaczeka na idealny moment, w którym stracimy czujność, i wtedy przystąpi do ataku. Jeśli będziemy mieli na sobie zbroję, damy radę. Gorzej, jeśli nie opuścimy przyłbicy.

Jakimś cudem znalazłam siłę na to, żeby zapukać do drzwi gabinetu dyrektora.

Rozdział drugi



Ewelina czekała na mnie przed szkołą. Pierwsza rzecz, o jaką mnie zapytała, kiedy do niej podeszłam, to to, czy jej nie wydałam. Próbowwała grać wyluzowaną, ale nawet ja, osoba ledwo panująca w tym momencie nad swoimi emocjami, byłam w stanie zobaczyć, że dużo jej brakuje do kwiatu lotosu pływającego po tafli jeziora. Wspomniała też, że nie zadaje się z konfidentami, co jeszcze mocniej mnie rozwścieczyło. Byłam jak tykająca bomba, a ona obchodziła się ze mną bardzo nieumiejętnie.

– Zwariowałaś?! – warknęłam. – Za kogo ty mnie, do jasnej cholery, masz? Uważasz, że jestem donosicielką?

– Stara, wyluzuj. To tylko taki żart. – Obie wiedziałyśmy, że to nieprawda.

– Nie mów do mnie „stara”. Nie znoszę tego – powiedziałam, a potem obrzuciłam budynek szkoły wściekłym spojrzeniem. Żeby tak zniknął z powierzchni ziemi! Nienawidziłam tego miejsca! Pewnie gdybym podeszła do sprawy spokojnie, wiedziałabym, że przebieg rozmowy z dyrektorem powinien mnie cieszyć. Powinnam również mieć świadomość tego, że jedyną odpowiedzialną za całą tę sytuację jest Ewelina, a ja wcale nie musiałam dawać sobie przyklepywać jej

przewinienia. Wcale nie musiałam tego robić. Ale ja nie byłam spokojna. Nie potrafiłam się uspokoić. Nastąpiła kumulacja duszących mnie emocji.

– Dobrze, Weroniko. Nie będę cię nazywała starą. – Ewelina bardzo mocno zaakcentowała moje imię, wyróciła oczyma i się zaśmiała, jakbym przed momentem opowiedziała jej śmieszny żart. Łatwo jej to przyszło. – Po prostu wyluzuj i powiedz mi, na czym stanęło. Co Mołęda ci powiedział? Wyjechał cię ze szkoły?

– Nie wyrzucili mnie ze szkoły. Nie powiadomili policji ani kuratora, ale zostałam zawieszona w prawach ucznia.

– No to co się tak ciskasz? Mogło być gorzej – skwitowała moja przyjaciółka z uśmiechem na twarzy.

– Jest najgorzej! Rozumiesz? Najgorzej!

– Przesadzasz. Pomyśl o tym, że nie będziesz musiała chodzić do szkoły. Nawet ci zazdroszczę. Wyśpisz się w końcu i nie będziesz musiała oglądać ryja naszego polonisty. – Dla Eweliny sprawa najwyraźniej była załatwiona. Ewidentnie przemawiała przez nią ulga.

– Ewelina, w zawieszeniu nie chodzi o to, że nie chodzi się do szkoły! – powiedziałam, a raczej krzyknęłam. Teraz byłam mądra, ale jeszcze pół godziny temu uważałam dokładnie tak samo jak ona. Dyrektor Mołęda mnie naprostował. – Szkoła nie może zabronić uczniowi uczestnictwa w lekcjach, gdyż ograniczyłoby to jego konstytucyjne obowiązki. Dyro postawił sprawę jasno: Skoro mam osiemnaście lat, mogę zakończyć edukację w dniu dzisiejszym, co oczywiście sprawiłoby mu wiele zawodu, ale to byłaby moja decyzja. Jeśli jednak chcę ją kontynuować, mam ponieść konsekwencje swojego czynu. I oczywiście powinnam się cieszyć, że nie powiadomił o całej sprawie kuratorium ani policji. Nie zrobił tego tylko dlatego,

że jak do tej pory moja opinia wśród nauczycieli była bardzo dobra. Niemniej komisja, która została wezwana w mojej sprawie, uznała, że należy mi się kara, która sprawi, że spokorniej, więc zostałam zawieszona do końca roku szkolnego. Tym samym nie mogę brać udziału w klasowych imprezach. Czyli nie pójdę na studniówkę. Na tę samą, na którą czekałam od momentu, gdy skończyłam gimnazjum! Na tę, na którą już mam kupioną sukienkę! – Aż musiałam tupnąć, żeby dać upust wściekłości. Najchętniej jednak rozerwałabym coś na strzępy. Na przykład gardło Molędy. I zrobiłabym to własnymi zębami. – Nie pojedę też za trzy tygodnie na wycieczkę do Poznania! Nie wezmę udziału w zawodach siatkarskich, bo usunęli mnie z drużyny! Nie jestem już przewodniczącą klasy! Jak więc mam, twoim zdaniem, wyluzować? Przez ciebie pozbawiono mnie wszystkich przyjemności! – Czułam, że podczas krzyków moja ślina rozbryzguje się wokoło. Ewelina też to czuła i pewnie dlatego zaczęła się ode mnie odsuwać. To był pierwszy taki mój wybuch, od kiedy się znałyśmy, i tak naprawdę to nie wiem, która z nas była tym faktem bardziej zaskoczona.

– No najlepiej mnie o wszystko obwin – powiedziała moja przyjaciółka z obrażoną miną. Zaplotła dłonie na piersiach i teraz to ona mierzyła mnie oskarżycielskim wzrokiem. Typowa Ewelina.

– A to, przepraszam, ja chciałam handlować trawą? Ja przyniosłam ją do szkoły? To mnie wypadła z bluzy? Nie wkurzaj mnie! – Aż się zatrzymałam w miejscu, żeby jej o tym powiedzieć.

Ewelina wcale nie wyglądała jak ktoś, kto poczuwa się do jakiegokolwiek odpowiedzialności. A jeszcze dziś rano tak było. Jeszcze rano mówiła, że jest, cytuję, zajebicie posrana,

a jak jej rodzice dowiedzą się, że miała z tym cokolwiek wspólnego, to ją zabiją. Już i tak miała u nich przechlapane, bo popalała trawkę w domu i wyczuli zapach.

– No sorry, no – powiedziała, ale w jej głosie nie słycać było żadnej skruchy. – Może dyrowi przejdzie do studniówki? Może zmieni zdanie? Może tak cię tylko chciał postraszyć?

– Może tak, a może nie. Ale to nie wszystko. Jest coś jeszcze.

– Co?

Spojrzałam na przyjaciółkę. Strasznie mnie dziś wkurzały jej niebieskie oczy, zaróżowione policzki, tlenione blond włosy i anielski uśmiech. A wszystko to opakowane w różowo-białe ciuchy. To, że cały czas żuła gumę i robiła balony, również mnie irytowało.

– Począwszy od przyszłego poniedziałku, po szkole mam chodzić do jakiejś chorej laski.

– Ale że jak? Jakiej chorej laski? I po co, bo nie kumam? – zapytała.

– Molęda powiedział mi, że ona jest bardzo chora i nie rusza się z łóżka, a ja w ramach odpokutowania swoich, przepraszam: twoich, grzechów, mam spędzać z nią czas. – Dyrektor powiedział mi coś jeszcze, ale nie miałam zamiaru tego mówić Ewelinie.

– To teraz tak będą robić, jak ktoś wywinie jakiś numer w szkole? Będą kazali się opiekować niepełnosprawnymi? To legalne? – Zrobiła wielkie oczy.

– Idź i się go zapytaj. Siedzi w gabinecie i zapewne tylko czeka na to pytanie!

– O nie! Najgorzej! Niepełnosprawni są okropni! – Moja przyjaciółka zrobiła taką minę, jakbym mówiła o kimś, kto zaraża śmiertelną chorobą.

– Powiedział, że mogę zabrać ze sobą kogoś do towarzystwa. Pomyślałam o tobie. We dwie będzie nam łatwiej zmienić jej pieluchę. – Nie wiem, dlaczego to powiedziałam, skoro to nie była prawda. Chyba po prostu chciałam dopiec Ewelinie.

– No co ty, stara! Przecież ja się kompletnie do takich rzeczy nie nadaję! Ja się boję takich ludzi! Patrz – podciągnęła rękaw jeansowej kurtki i pokazała mi swoje przedramię – na samą myśl, że miałabym kogoś takiego dotknąć, mam gęsią skórkę. To obrzydliwe. – Wsadziła sobie palec do buzi i udawała, że wymiotuje.

– Serio? A wiesz, że gdybym zostawiła cię z tym samą, to byłabyś na moim miejscu?

Ewelina łypnęła na mnie spode łba, ewidentnie było jej to nie w smak, ale wiedziała też, że akurat z tym argumentem nie ma co dyskutować.

– A twoja matka? Dyro z nią gadał? – zapytała. Coś mi mówiło, że chciała zmienić temat.

– Dzwonili do niej ze szkoły, ale nie była w stanie powiedzieć im, kiedy wróci, żeby dać mi osobistą reprimendę. Na pewno nie w tym tygodniu. Obecnie przebywa w Berlinie. Pracuje. Popiera decyzję Molędy. Jest jej wstyd za moje zachowanie.

– Czyli sobotnia impreza aktualna?

– Ewela! Nie przeginaj! Mam dość atrakcji!

– Wera! – Przyjaciółka zrobiła tak wielkie oczy, że myślałam, że wypadną jej z orbit i potoczą się po chodniku. A potem złożyła dłonie jak do modlitwy i zaczęła paplać: – Ja wiem, że i tak jestem twoją dłużniczką, więc obiecuję ci, że będę się opiekowała twoimi dziećmi w każdy weekend. Oczywiście, jak już będziesz je miała. Wiem, że teraz na pewno mi

nie wierzysz, ale tak będzie. Będę najlepszą ciocią dla tych bobasków. Ale nie możesz nie zrobić tej imprezy w sobotę! Jako jedyna z całej naszej paczki masz wolną chatę, stara cię nie inwigiluje i co najważniejsze: Mateusz też przyjdzie, a wiesz, jak bardzo mi na nim zależy. Wiesz też, że moi starzy zabronili mi się z nim spotykać, bo uważają, że on sprowadza mnie na złą drogę.

– A ty wiesz, że ja nie chcę mieć dzieci, którymi ty mogłabyś się opiekować? Mówiłam ci o tym milion razy. – Zaplotłam dłonie na piersiach i patrzyłam na przyjaciółkę, która szczyrzyła do mnie zęby. Powoli przechodziła mi złość na nią. Pewnie jak przejdziemy na drugą stronę ulicy, już całkowiec minie.

– Oj tam, oj tam. Zmienisz zdanie, a nasze dzieci też będą się kiedyś ze sobą przyjaźniły.

– Nadal mnie nie przekonujesz – powiedziałam, chociaż to nie była prawda.

– Wera. – Spojrzała na mnie tymi swoimi anielskimi oczyma.

– Niech ci będzie. Ale ty po wszystkim sprzątasz! Ja nawet nie kiwnę palcem!

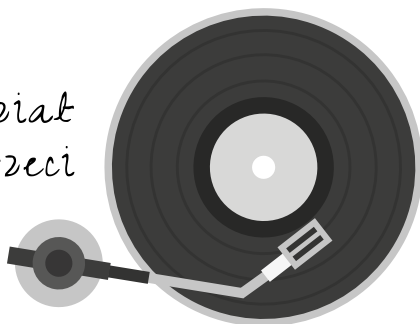
– DZIĘKUJĘ! – krzyknęła i rzuciła mi się na szyję.

– Bo mnie udusisz. – Próbowałam ją od siebie odsunąć, ale tak naprawdę cholernie potrzebowałam teraz tej bliskości. Od dziecka marzyłam o tym, żeby mieć przyjaciółkę. Ojciec zabronił mi zapraszać do domu koleżanki, więc tak naprawdę dopiero po jego śmierci mogłam się z kimś zaprzyjaźnić. Padło na Ewelinę. To ona z nas dwóch była tą bardziej wygadaną, wyszczekaną nawet. To ona organizowała nasz wolny czas. To ona zaczepiała chłopaków na ulicy. To ona namówiła mnie na pierwszego papierosa i alkohol.

To ona zdecydowała, do którego liceum pójdziemy. To ona, co prawda zupełnie nieświadomie, ale sprawiła, że nauczyłam się żyć z tym, co zrobiłam.

Bardzo ceniłam sobie tę przyjaźń.

Rozdział trzeci



Ewelina pozwoliła mi iść do domu dopiero wtedy, kiedy przysięgam jej na swoje dziewictwo, że na pewno zrobię w sobotę imprezę. I chociaż tak naprawdę nie miałam na to ochoty, byłam cholernie zmęczona i zdołowana całą sytuacją, to nie chciałam sprawiać jej przykrości i odmawiać. Można w sumie powiedzieć, że o cokolwiek ona mnie poprosiła, ja zawsze się zgadzałam. Pisałam za nią wypracowania, dawałam jej odpisywać lekcje, pożyczałam ciuchy i nie prosiłam o ich zwrot, a gdy pracowałyśmy w grupie, brałam zadania na siebie. Nigdy nie odmówiłam jej pomocy. Ja to wszystko po prostu robiłam, mając świadomość, że takie podejście ją uszczęśliwi albo – jak w tym przypadku – pomoże jej. Oczywiście więc było, że kiedy z bluzy mojej przyjaciółki wprost pod nogi polonisty wypadła torebka z trawką, wystarczyło mi jedno jej spojrzenie, żebym powiedziała, że zioło jest moje. Czułam, że tak właśnie postępują prawdziwi przyjaciele. Że wspierają się bez względu na wszystko, a potem się z tego śmieją.

Co prawda mnie do śmiechu na razie nie było, ale wierzyłam, że za kilka tygodni to się zmieni.

Ewelina była moją najlepszą przyjaciółką. Ufałam tylko jej, bo matce – wiecznie zapracowanej i tak samo nieobecnej, matce, która wracała do domu na kilka dni, rzucała na

stół pieniądze, przepakowywała walizki i znowu znikąca – nie ufałam wcale. Nie byłam taka naiwna, żeby wierzyć, że ona ciągle tylko pracuje. Miałam świadomość, że jej nieobecności spowodowane są również relacjami z mężczyznami. Miałam też świadomość tego, że nie czuje się w obowiązku poświęcać mi swojego czasu. Po śmierci ojca potrzebowała kilku miesięcy, żeby przeobrazić się z poczwarki w motyla. Zmieniła sposób bycia i ubierania się. Zmieniła znajomych. Zmieniła również nasz dom na przestronne mieszkanie w kamienicy w centrum Wrocławia. Jedyne, czego nie zmieniła, to jej zachowanie względem mnie. W dalszym ciągu mnie ignorowała. W dalszym ciągu traktowała nie jak dziecko, ale jak obowiązek do spełnienia.

Kiedy żył ojciec, udawała, że nie widzi tego, co on mi robi. Zawsze, gdy w ruch szedł pas, ona wychodziła z pokoju. Słyszała mój płacz, ale nic sobie z tego nie robiła. Moim niedoścignionym wzorem matczynej miłości była grana przez Gabrielę Kownacką Anna Kwiatkowska z serialu *Rodzina zastępcza*. Boże, jak ja chciałam, żeby moja matka była taka jak ona. Żeby moja rodzina była taka, jak w tym serialu. Żeby podobnie jak serialowa Majka mogła pogadać z matką o wszystkim i żeby nie było między nami tematów tabu. Jak ja zazdrościłam tym dzieciakom, że słyszą słowa „kocham cię”, czują się potrzebne i po prostu kogoś obchodzi, co myślą. Że ktoś o nie dba, a nie poprzez siłę i strach wymaga od nich szacunku i posłuszeństwa. Że ktoś nauczył je mówić „przepraszam”, „proszę” i „dziękuję”. Że są kochane i zaopiekowane.

Byłam zazdrosna o to fikcyjne życie, chociaż przecież moje wydawało się naprawdę spoko. W oczach moich rówieśników, ma się rozumieć, bo w moich wcale. Koleżanki

ciągle mi mówiły, że ja to mam zajebiście. Zero kontroli, wolna chata, hajs na stole i jeszcze do tego dobrze się uczyć. Nie wiedziały, że ten hajs jest wyliczany co do złotówki. Nie wiedziały również, że kiedy one wywijają oczyma, gdy rodzice się o nie troszczyli i kazali im wrócić wcześniej z imprezy, nie ściągać czapek, gdy był mróz, zjeść mięso, ewentualnie zostawić ziemniaki, ja siedziałam w domu sama jak kołek, owinięta w koc. Czasem płakałam, czasem patrzyłam w ścianę. Czułam się samotna i niepotrzebna. Bo nawet gdy moja matka była w pokoju obok, co zdarzało się niezwykle rzadko, to tak naprawdę jej nie było. My się nawet nie mijaliśmy. My się wręcz unikałyśmy. Byłyśmy dla siebie niewidzialne. W pewnym momencie zrozumiałam, że tak jest dobrze. Że nie ma sensu marzyć o tym, żeby było inaczej. Moi rodzice skutecznie obrzydzili mi chęć posiadania własnej rodziny, a ja wiele razy zastanawiałam się, po co powołali mnie na ten świat. Po co, skoro tylko im wadziłam?

– I jeszcze mam się jakąś durną laską zajmować! Pieprzyć to wszystko! Nienawidzę swojego życia!

Z całej siły trzasnęłam drzwiami od lodówki. Albo raczej z bezsilności. Odechciało mi się jeść. Kopnęłam leżący pod moimi nogami plecak i powlokłam się do swojego pokoju. Rzuciłam się na łóżko i nakryłam głowę kocem. Chciałam zasnąć i obudzić się kilka lat później, ale upierdliwy głos Stefana Molędy, naszego dyrektora, nie pozwalał mi zasnąć ani na chwilę, bo akurat w tym momencie musiał powtarzać w mojej głowie przebieg dzisiejszej rozmowy.

No po prostu musiał.

Kiedy weszłam do jego gabinetu, stał odwrócony do mnie plecami i wpatrywał się w widok rozpościerający się za oknem. Sprawiał wrażenie dobrotliwego wujaszka, który poczęstuje

cukierkiem, a gdy trzeba, pogrozi palcem, jednak większych szkód w twoim życiu nie wyrządzi. Nic bardziej mylnego. Ten pozbawiony włosów na czubku głowy, niespełna sześćdziesięcioletni, nieco otyły mężczyzna, ubierający się zawsze w sweter w romby, przyciasną marynarkę i spodnie niepasujące do reszty, doskonale wiedział, co zrobić, żeby wpędzić ucznia w poczucie winy. Molęda nie krzychał. Molęda tłumaczył. I robił to w taki sposób, że większość wołałaby zostać trzy razy rozstrzelana lub powieszona.

– Weronika Nowacka. Uczennica trzeciej klasy liceum o profilu humanistycznym. Przewodnicząca, sportsmenka, laureatka wielu konkursów, przyszła dziennikarka. I początkująca dilerka. Widzę, że nie rozmienniasz się na drobne. Usiądź, proszę – przywitał mnie właśnie takimi słowami. Ciekawa byłam, czy nauczył się ich na pamięć, czy to był całkowity spontan.

Zdjęłam plecak, postawiłam go na podłodze i usiadłam na stojącym naprzeciwko masywnego biurka drewnianym krześle. Było niewygodne, pewnie dlatego kazał mi na nim usiąść. To musiała być część mojej kary. Nie miałam pojęcia, co mam zrobić z dłońmi. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to wyginanie palców we wszystkich możliwych kierunkach. Dyrektor również usiadł. Patrzył na mnie. Spuściłam wzrok, czując, że moja twarz robi się gorąca. Serio, mało brakło, że bym zaczęła się bić w pierś i mówić, że to moja wina, moja bardzo wielka wina.

– Trochę napsociłaś – powiedział.

– To się więcej nie powtórzy – wybąkałam.

Nie patrzyłam mu w oczy, wytarty dywan pod moimi znoszonymi trampkami był o wiele ciekawszy. Zastanawiałam się nad tym, ilu podobnych do mnie biedaków siedziało na tym krześle i tak jak ja z ogromnym zainteresowaniem

wpatrywało się w tę podróbkę tureckiego dzieła sztuki. Ile wsiąknęło w niego uczniowskiego potu, łez i krwi? Jeżeli liczyć rocznie minimum pięćdziesiąt osób i mnożąc to przez dziesięć lat kadencji dyrektorskiej Molędy, ilość mogła zszokować.

– Wiem, że to się więcej nie powtórzy – powiedział Molęda, na którego ja w dalszym ciągu nie patrzyłam. – Jednak skoro już się zdarzyło, należałoby o tym porozmawiać. Wyciągnąć wnioski. Przeanalizować tę sytuację. Zapytać, czy naprawdę musiało do tego dojść. Zastanowić się również nad tym, jakie konsekwencje mogą pojawić się w przyszłości.

O. Mój. Boże. Przecież on będzie analizował i wyciągał te wnioski do przyszłego tygodnia. A konsekwencje? No wiadomo, że za chwilę przeniesiemy się w przyszłość, która będzie jawiła się dla mnie w bardzo czarnych barwach. Na pewno nie zdam matury, zajdę w ciążę, oddam dziecko do adopcji, pójdę do więzienia, zrobię sobie osiem tatuaży, a kiedy wyjdę na wolność, będę stara i pomarszczona jak niewyprasowana koszula, moje tatuaże przestaną być modne i na pewno żaden porządny facet nie będzie mnie chciał. Wstydem będzie, jeśli nieporządni również się mną nie zainteresują. Skończę na melinie. Umrę z głodu. Pochowają mnie jako bezimienną alkoholiczkę. Albo zeżrą mnie szczury.

Wizja ta nie wzięła się w mojej głowie z powietrza. Poprzedniego wieczora oglądałam dokument o bezdomnej, która opowiadała o swoim życiu i mówiła, że kiedyś była dobrą uczennicą, miała narzeczonego, świetną pracę i upatrzoną suknię ślubną. Tylko coś poszło nie tak i skończyła w pustostanie. Chociaż ja narzeczonego, pracy ani pomysłu na suknię ślubną nie miałam, to i tak przełożyłam to na siebie w skali jeden do jednego.

– Ale my, Weroniko, nie będziemy tego robić – powiedział dyrektor.

– Ale czego nie będziemy robić? – zapytałam i w końcu na niego spojrzałam. Byłam tak pogrążona w myśleniu o tych szczurach, że przestałam go słuchać jakieś dwie minuty temu.

– Nie będziemy się nad tobą pastwić. Jesteś bardzo dobrą uczennicą i nie sprawiałaś do tej pory kłopotów. Rozumiem również twój młody wiek i wynikającą z niego naiwność. A także to, jaki mogą mieć na ciebie wpływ rówieśnicy – bardzo mocno zaakcentował dwa ostatnie słowa, a potem dodał: – Sam również kiedyś byłem młody, chociaż mam świadomość, że komuś w twoim wieku może się wydawać, że zawsze byłem stary. Nic bardziej mylnego. Kiedyś naprawdę miałem tyle samo lat co ty – zaśmiał się ze swojego własnego żartu i ciągnął: – Jednak ufam, że to, co miało miejsce, więcej się nie powtórzy. Ufam, że się po prostu pogubiłaś gdzieś po drodze.

– Może być pan pewien, że to się nigdy więcej nie powtórzy. – O matko jedyna, pomyślałam, chyba mi się upieczę. W moim sercu wezbrała nadzieja i miłość do dyrektora Molędy. Chyba mu jutro przyniosę laurkę. I bombonierkę.

– Jednak nie mogę ot tak spuścić na to wszystko zasłony milczenia, dlatego...

Po tym złowieszczym „dlatego” usłyszałam, że zostaję zawieszona w prawach ucznia. Jakoś do tej pory miałam bardzo mylne wyobrażenie na temat tego, z czym to się tak naprawdę je. Albo inaczej: kompletnie mnie to nie obchodziło. Bo niby dlaczego miałyby obchodzić?

– Nie mogę iść na studniówkę? – zapytałam, kiedy dyrektor Molęda wyjaśnił mi, na czym polega moja kara. – Mam chodzić do szkoły jak do tej pory, uczyć się, pisać sprawdziany, ale nie pozwala mi pan iść na bal maturalny? – Tak

naprawdę to wszystkie inne nałożone na mnie sankcje obchodziły mnie w tym momencie średnio lub wcale. No ale, na litość boską, studniówka?

– Studniówka to przywilej. Dopóki nie zobaczę, że rozumiałaś, że twoje postępowanie było złe, nie ma mojej zgody na to, abyś uczestniczyła w tej imprezie. Pocieszające jest jednak to, że do balu zostały cztery miesiące. To bardzo dużo czasu na zrozumienie. I na zmianę mojej decyzji.

– Skąd pan, do cholery, będzie wiedział, że cokolwiek rozumiałam?! – Dopiero gdy wyartykułowałam to pytanie, zdałam sobie sprawę z tego, że nieco mnie poniosło z barwą głosu i doborem słów, ale byłam tak wściekła, że nie miałam zamiaru za cokolwiek go przeproszać. Nadzieja umarła, miłość się ulotniła, a laurka, którą miałam mu podarować, spłonęła w piekielnym ogniu. Bombonierkę, owszem, kupię. Sobie. Na pocieszenie.

– Rozumiem twój gniew, niemniej nie jest on dobrym doradcą, dlatego proponuję, byś zachowała większy spokój. – Pokrętnie zasugerował, żebym stonowała.

– Zabrania mi pan iść na bal maturalny! Marzyłam o tym! – Na końcu języka miałam to, żeby mu powiedzieć, że sukienka wisi w szafie, a kosmetyczka i fryzjerka są już umówione. Nie miałam tylko partnera, ale to akurat był szczegół. Zawsze znajdzie się ktoś na darmową wyżerkę i tańce. W ostateczności pójdę sama i też będę się świetnie bawiła.

A, nie, wróć! Nigdzie nie pójdę!

– Proponuję, żebyś posłuchała mnie do końca. Możesz to zrobić? – Dyrektor patrzył na mnie, miałam wrażenie, z lekkim rozbawieniem. Prostack.

– Mogę – powiedziałam, chociaż tak naprawdę chciałam powiedzieć, że nie, wcale nie mogę. Zaplotłam ręce na

piersiach, skrzyżowałam nogi w kostkach i spojrzałam na niego z wściekłością.

– Wspaniale. – Klasnął w dłonie. – Zapytałaś o to, skąd będę wiedział, czy cokolwiek zrozumiałaś. Ano stąd, że od najbliższego poniedziałku po skończonych lekcjach będziesz odwiedzała Sylwią.

– Sylwią? Kim jest Sylwia? Jakimś psychologiem? – zapytałam.

– Sylwia jest dwa lata starszą od ciebie dziewczyną.

– No i? Co ja mam z tym wspólnego?

– Sylwia choruje na stwardnienie zanikowe boczne. Słyszałaś o tym?

Pokręciłam głową, bo nawet jeśli coś słyszałam, to w tym momencie władzę nad moim umysłem sprawował szok i na pewno nie byłabym w stanie niczego sobie przypomnieć. Również tego, co jadłam dziś na śniadanie.

– Pozwól, że ci to wyjaśnię – powiedział Mołęda. – Stwardnienie zanikowe boczne jest bardzo często mylone ze stwardnieniem rozsianym, ale to dwie różne choroby. Stwardnienie rozsiane to choroba, która wcześniej rozpoznana, pozwala na szybkie rozpoczęcie leczenia i spowolnienie postępu oraz złagodzenie objawów. Natomiast stwardnienie zanikowe boczne to choroba nieuleczalna, a możliwości terapeutyczne są bardzo ograniczone. Jej średni czas trwania to cztery lata. Prowadzi do stopniowej utraty umiejętności mówienia, poruszania się, połykania oraz oddychania. Chorzy umierają z powodu niewydolności oddechowej. Zazwyczaj chorują ludzie w średnim wieku, jednak w bardzo rzadkich przypadkach choroba może pojawić się również u młodszych. – Nie umknęło mojej uwadze, że mówiąc to, Mołęda bardzo posmutniał. – Sylwia ma teraz dwadzieścia lat. Postawiono

jej diagnozę trzy lata temu. Rok później, w październiku dwa tysiące trzynastego, straciła władzę w nogach. Jak wiesz, mamy wrzesień roku dwa tysiące piętnastego, a ona od trzech miesięcy jest przykuta do łóżka.

A co mnie to wszystko obchodzi?, myślałam w trakcie jego przemowy. Co mnie obchodzi jakaś laska, której nie znam i nie mam ochoty poznawać? Co mnie obchodzi jej życie i jej choroba? Mną się nikt nigdy nie przejmował, to ja mam się kims przejmować?

Molęda zamilkł, a ja zastanawiałam się, co on, do cholery, chce osiągnąć, zmuszając mnie do kontaktu z kimś takim jak ta dziewczyna. Bo to przecież nie było nic innego jak zmuszanie mnie do czegoś, czego robić nie zamierzałam. I czy on w ogóle mógł tak postępować? Czy nie przekraczał w tym momencie swoich kompetencji? Niestety, nie wiedziałam tego.

– Nie sądzę, żebym nadawała się do czegoś takiego – powiedziałam.

– Skąd taki wniosek? Uważasz, że nie będziesz umiała rozmawiać z Sylwią? A może uważasz, że wspólne oglądanie filmów również wymaga jakichś wielkich umiejętności?

– To nie o to chodzi – wybąkałam.

– A o co? – zapytał Molęda. Świdrował mnie przy tym spojrzeniem tak, jakby chciał przewiercić na wylot. To było strasznie dziwne.

Wbiłam wzrok w swoje dłonie. Nie wiedziałam, jak mam nazwać to, co się ze mną działo i co w tym momencie czułam. Dystans, obrzydzenie, a może strach, że ta nieznamozna zarazi mnie swoją chorobą? Dlaczego pojawiły się we mnie takie myśli i opór, skoro dzięki wyrażeniu zgody mogłam poprawić swoje notowania u dyrektora? To było kompletnie irracjonalne, tylko że ja nie potrafiłam się przed tym powstrzymać.

– Miałas kiedyś do czynienia z kimś niepełnosprawnym? – zapytał dyrektor.

– Nie.

– Twoje obawy są więc zupełnie bezpodstawne, chociaż je rozumiem. Sylwia to bardzo wesoła osoba. Naprawdę. Pomimo choroby stara się żyć, czerpiąc radość ze wszystkiego, co ją otacza. Jestem pewien, że się zaprzyjaźnicie. Jestem również pewien, że wiele się dzięki niej i od niej nauczysz. A ona od ciebie.

– Ale panie dyrektorze, czy ja naprawdę muszę to robić? Nie mogę zrobić czegoś innego? Na przykład posprzątać terenu wokół szkoły? – Miałam świadomość, że zabrzmiało to tak, jakbym powiedziała, że mogę skakać na jednej nodze nad samo morze. Niech stracę, z powrotem też. No aż tak się poświęcę.

– Doceniam twoje poświęcenie, jednak jeśli chcesz odzyskać swoje prawa, to musisz. Chociaż wolałbym, żebyś chciała. I pamiętaj o jednej, bardzo ważnej rzeczy: dobre uczynki nie są łatwe, ale przynoszą mnóstwo radości. Twoja mama również przychyliła się do mojego pomysłu. Ponadto bardzo ubolewa nad tym, co się stało – powiedział Molęda, a ja prychnęłam. To już była przesada.

– I czuje się rozczarowana moją osobą, jest jej wstyd, i nie ma pojęcia, jak do tego doszło, w końcu w wychowanie mnie włożyła tak wiele siły. Aha, i oczywiście nie jest w stanie wyrwać się z pracy, żeby przyjechać i przywołać mnie do porządku. Wiem. Usłyszałam to wczoraj dziesięć razy przez telefon – sarknęłam. Przysięgam, że gdyby nie to, że tak bardzo zależało mi na tym, aby pójść na studniówkę i przystąpić do matury, żeby dostać się na moje wymarzone dziennikarstwo, pokazałabym dyrektorowi środkowy palec,

zrzuciła z jego biurka wszystkie dokumenty i kazała mu spieprzać. A potem z wysoko uniesioną głową opuściła ten burdel zwany potocznie szkołą. – Czyli jak będę chodziła do tej dziewczyny, to istnieje szansa, że będę mogła iść na studniówkę? – zapytałam. Czuję się pokonana.

– Istnieje taka szansa – odpowiedział.

– Dobrze – wycodziłam – zrobię to.

Molęda przez chwilę tylko na mnie patrzył, co strasznie mnie irytowało. A potem przesunął w moją stronę małą kwadratową karteczkę. Wzięłam ją. Widniał na niej adres tej dziewczyny.

– Psie Pole? No szkoda, że nie Zakopane.

– Chyba masz migawkę? – zapytał.

– Słucham?

– Przepraszam – zaśmiał się – pomimo tego, że mieszkam we Wrocławiu od tylu lat, ciągle zapominam o tym, że moja rodzima gwara tutaj nie obowiązuje. Chodziło mi o bilet miesięczny. Masz?

– Mam.

– Świetnie. Została jeszcze jedna kwestia. Tym razem ufam, że spodoba ci się to, co usłyszysz.

Wątpię, pomyślałam, ale nie odezwałam się słowem. Byłam taka zła, że wolałam się ugryźć w język, niż palnąć jakąś głupotę.

– Jak już wcześniej wspomniałem, jesteś zawieszona w prawach ucznia, tym samym nie możesz redagować szkolnej gazetki, co, sądząc po twojej minie, sprawia ci przykrość. Nie dziwię się. Potrafisz pisać. Dlatego chciałbym, żebyś opisywała w tym kaciecie czas spędzony z Sylwią. Wszystkie swoje przemyślenia. Wszystko, co ci tylko przyjdzie do głowy. To dla mnie bardzo ważne.

Molęda przesunął w moją stronę oprawiony w skórę notes. Nie mogłam nie docenić tego małego dzieła sztuki. Ciemnobrązowa, bardzo gładka w dotyku okładka, mnóstwo kolorowych tasiemek służących do zaznaczania stron i kremowy papier, który samym swoim wyglądem zachęcał do tego, żeby zacząć po nim pisać. Nawet przez moment nie zastanowiłam się nad tą prośbą i po prostu schowałam dziennik do plecaka. Chciałam już stąd wyjść i jeśli zgoda na kolejne żądanie dyrektora miała mi w tym pomóc, to bardzo proszę. Pobawię się w pisarkę.

– To wszystko, jesteś wolna, chociaż mam świadomość, że możesz się czuć jak więźniarka. – Jeśli to jego zdaniem miał być żart, to nie był śmieszny.

Wstałam z krzesła, zarzuciłam plecak na ramię, powstrzymałam się jednak przed tym, żeby nasunąć na głowę kaptur. Nim wyszłam z gabinetu, zadałam dyrektorowi pytanie:

– Jak długo mam do niej chodzić?

– Aż zrozumiesz.

– Że zrobiłam źle, przynosząc do szkoły narkotyki? Ja już to rozumiem. Musi mi pan uwierzyć.

– To też. Ale chciałbym jeszcze, żebyś zrozumiała coś innego.

– Co niby?

– Chciałbym, żebyś zrozumiała, na czym polega prawdziwa przyjaźń. To taka moja długofalowa praca domowa dla ciebie.

Nie wiem, jakim cudem powstrzymałam się przed tym, żeby nie prychnąć z pogardą. Doskonale wiedziałam, czym jest prawdziwa przyjaźń. Między innymi właśnie dlatego z nim gadałam.

Prawdziwa przyjaźń to poświęcenie.